# Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 50. Poznań, dnia 14. Grudnia. 1840.

## Literatura zagraniczna.

### BÖRNE.

1) Heinrich Heine über Ludwig Börne. (Hamburg 1840.)
2) Börne's Leben von Carl Gutzkow. (Hamburg 1840.)

*(Ciąg dalszy.)*

Kto jakkolwiek głębiéj przejął się powołaniem literatury, wie, że ona z polityką jak najściśléj złączona, jedna bez drugiéj nie może stanowić całości. Punkt dobra ogółu powinien być pryzmem, w którém wszystkie promienie literatury zbiegać się powinny. Literatura bez téj głównéj myśli jest czczą i nic nie znaczącą, są to tony bez harmonii i melodyi. Najpiękniejsza powieść Czajkowskiego, najgenialsza rozprawa jakiego Gurowskiego lub jakiego Janusza Woronicza, najwznioślejsza poezya Lamartina i t. d. niczém są, bo piszący myśleli o sobie tylko. Wpływ jaki przez swe dzieło wywrzec mogli na ludzkość był im obojętny. Jest to zniżenie wzniosłego celu literatury do błota codziennego życia. Börne uczuł całą wielkość powołania pisarza, nie mogąc inaczéj, wpływał przez recenzye teatralne, doniesienia koncertowe, zdania o tancerkach i t. d. na kształcenie i rozszerzanie zasad, które pochodząc z jego czystego i prawego serca, były jak jego serce czyste i prawe. Gutzkow mówi, iż polityka w dziełach jego jak jedwabny spódniczek z pod gazowéj powłoki przebijała. Nie mógł naprzykład pominąć (są słowa Gutzkowa) krytykując grę jakiéjś aktorki z teatru stanów w Grätz uwagi, iż, jeżeli stany w Grätz tak cicho mówią, jak ta dama, w ówczas z wolnością Styryi bardzo by źle było. »Börne« mówi daléj Gutzkow, »nie mógł wyobrazić sobie, jak można donieść o nowéj gazecie z dodatkiem, że polityka zupełnie jest wyłączona. Musiałem się bardzo śmiać, gdy mi Börne w roku 1836. doniósł z Paryża, iż chce do Frankfurtskiéj Börsen-Zeitung co tydzień przyłączać dodatek, z wyłączeniem przecie polityki, bo dobrze wiedziałem, iż Börne o Taglioni i Malibran pisać będzie, a jednak artykuły jego li tylko politycznémi będą. Zasady jego jednak były tak ugruntowane na prawości i zacności charakteru, były dla niego tak święte, iż brzydził się każdym, kto miał je w ustach, a nie według nich sobie postępował, i tylko ze smutkiem i oburzeniem słuchał, gdy jaki entuzyasta rozprawiał o ideach postępu, a on w tym człowieku nie znalazł nic wcale, coby go do niego sercem zbliżyć mogło.

Chcąc mówić o zasadach politycznych Börnego, trzeba je z praktycznéj i teoretycznéj strony uważać. Pierwsze są jak niebieskie żyły wijące się po pięknéj dłoni pism jego, drugie są głębiéj leżącémi muszkuły. — Börne wziął pióro jako publicysta po upadku Napoleona, nienawiść przeciw temu fałszerzowi testamentu rewolucyi francuzkiéj aż do końca go nie opuściła. Nie mógł on zapomnieć, iż Napoleon dla tego tylko rewolucyą francuzką pognębił, aby z niéj zrobić pudla, który jemu miał służyć. Napoleona, który wszystko gotów był poświęcić, na wszystko przysiądz, aby swoje panowanie z legimistycznością kościelną i światową pogodzić, tak nienawidził, jak nienawidził zasad, podług których ów panował. — Przyczynę téj nienawiści ku Napoleonowi uważać w tém można, iż Börnego teorya o państwie i obywatelstwie uzasadniona jest na »contract social« Russa. Główną zasadą, z któréj wychodził było prawo człowieka, polityczną główną myślą zaś, że równość wyższa nad wolność, jakkolwiek według nas jedna bez drugiéj ostać się nie może. Börne uważał to przekonanie tak w sercu człowieka uzasadnioném, iż z niego wyprowadzał podług Gutzkowa sposób, jakim udało się Napoleonowi przez lat dwadzieścia panować nad Francuzami. Odebrał on im wolność, ale równość zostawił. Utworzył nową szlachtę, ale do uzyskania tego szlachectwa każdemu droga była otwartą. Francuzi mieli tylko jedno prawo, prawo zostania żołnierzami i poświęcenia życia za cesarza, ale to prawo uważane jako powinność, wszystkim było prawem. Niewola łatwiéj się znosi, jeżeli nikt od niéj nie jest wyłączonym. (Przypominamy, że to są słowa Gutzkowa.)

Zasady polityczne Börnego przebijają jeszcze najlepiéj w następującym wyjątku z pism jego. Czy Likurg lepszym był niż Robespierre? pyta on. Nie! był gorszym. Bo Robespierre ludzi, a Likurg ludzkość poświęcał. Robespierre poświęcał ją, lecz nie zarzynał, nie był to rzeźnik, jak stare baby i dzieciaki trwożliwe o nim sądzą, był on obywatelem prawym, dobrym, w całém znaczeniu tego wyrazu. Państwo było jego Bogiem, państwem rzeczpospolita.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

## Literatura krajowa.

### Poezya.

#### *Moje sny — moje uczucia.*

Pierś moja jest jak wulkan, w którym śpią sny wieszcze,
Jak wulkan, w któren stwórca przy stworzeniu jeszcze
Iskrę życia i gwiazdę przeznaczenia rzucił!
Wulkan wieki przedrzymał — a gdy się ocucił
Żarem uczuć odetchnął i ogniem natchnienia;
I ujrzał smutną gwiazdę swego przeznaczenia,
I lawą łez ognistych zapłakał i zgasnął,
I jak spał przed wiecznością, znów na wieczność zasnął!

Ja jestem jak ów wulkan w przyrodzenia dziele.
Sam Bóg ogień swój święty w méj piersi zapalił;
Jam go zgasił — i w zimnym zmarłych żądz popiele
Jednéj-m iskry na marny żywot nie ocalił!

---

Są kwiaty tajemnicze — co cicho i skrycie
Kwitną gdzieś tam nieznane na opoki szczycie;
Kwitną Pan Bóg wie po co? kiedy nikt na świecie
Nie słyszał nawet nigdy o ich wonnym kwiecie;
Nikt ich nigdy nie widział — tylko tamci z góry,
Bóg i jego anieli, i gwiazdy, i chmury!
Jak sieroty, któremi gardzi ziemia-matka,
Rosną, kwitną nieznane i więdną bez świadka!

Témi kwiaty są moje uczucia sieroce,
Co wyrosły na serca mojego opoce;
Bóg wie po co i na co? . . . Kiedy tak tajemnie
Jak się we mnie zrodziły — wszystkie pomrą we mnie!
Nikt nigdy o tych kwiatach serca nie usłyszy,
Nikt ich nigdy nie ujrzy — chyba w nocnéj ciszy
Stróż anioł — gdy snu skrzydłem osłoni mą głowę,
I senną z duchem moim zawiedzie rozmowę,
I ze wszystkich snów moich w téj niemej spowiedzi
Sen jeden najsmutniejszy — sen serca wyśledzi!

Ty jeśli kiedy w smutnéj poniewierce świata
Ujrzysz listek uwiędły, którym wiatr pomiata,
Nim go zdepcesz nieczuła obojętną nogą,
Ulituj się, ulituj nad zwiędłą niebogą;
Odejmij się na chwilę weselu i światu
I zasmuć się i pomyśl: »to liść jego kwiatu!«

26. Paździer. 1840. *R. W. Berwiński.*

---

## *Nauki przyrodzone.*

### Dla czego umiejętności przyrodzone winny być głównym przedmiotem wiedzy ludzkiéj?

*Przez T. Mateckiego.*

*(Dokończenie.)*

Tak więc ostatecznym, ale zarazem osiągłym celem człowieka jest wiedza samowiedzy jego, czyli wiedza wyrazowości ziemi ze wszystkiémi do niéj należącémi pojawieniami. Nigdy zaś niedociekłe zostaną na zawsze dla niego słońce, księżyc, Uranus i t. d., mniéj jeszcze cały system słoneczny i inne, a tém mniéj jeszcze świat cały, a z nim myśl jego, twórca jéj, Bóg wielki. Jak śmieszną bowiem zdawałoby się nam rzeczą, gdyby ktoś, pochwyciwszy wyraz jeden tylko z napisanéj myśli, o niéj całéj chciał już rozprawiać? Wszakże wyraz jeden i ten sam w tysiąc różnych myślach powtarzać się może! Wszakże więc z jednego tylko wyrazu tysiąc razy tysiąc myśli najlogiczniejszych wyprowadzić i w każdéj z nich wyrazowi temu stanowisko najlogiczniejsze, zupełnie znaczeniu jego odpowiednie nadać jest w naszéj mocy! któraźże więc z nich wszystkich będzie ową napisaną, prawdziwą (absolutną prawdą)? Pewnie żadna! zgodzimy się wszyscy na to, boć o przypadku mowy tu być nie może. A i w tym razie gdzież będą dowody na to, jeźli wszyscy razem w całém tém piśmie jeden tylko i ten sam wyraz czytać i rozumieć będziem umieli, a resztę wyrazów tylko odgadywać nam przyjdzie?

Mając cel już oznaczony dążności naszéj, słuszna zastanowić się nad sposobami, przez którebyśmy najpewniéj do niego dojść mogli.

Powyżéj jużeśmy z lekka sposoby te namienili. Nie mamy zmyślać powieści, ale starać się poznać wprzódy zgłoski świata, a raczéj zgłoski ziemi, zgłoski wyrazowości człowieka. Témi, jak już wiemy, są owe ciała martwe z ciałami ożywionémi na téj ziemi, jest zarazem człowiek, który się staje przedmiotem badań następnych pokoleń z jednéj strony po śmierci w ciele swojém, z drugiéj w historyi, za życia zaś sam nad sobą z współżyjącymi zastanawia się. Pracować zatém winniśmy przedewszystkiem w umiejętnościach przyrodzonych, te bowiem tylko nauczyć nas mogą pojmować wymawianie się zgłosek w przyrodzeniu, z których, mając i wyraz i brzmienie jego (człowieka) gotowe, do znaczenia jego prawdziwego najpewniéj, najrychléj doj-

dziemy. Dla tego nie potępiajmy z góry zmysłowości naszéj*) ale raczéj wywołujmy ostateczną bystrość oka naszego, nadstawiajmy ciekawie ucha, smakujmy z natężoną uwagą, wąchajmy i czujmy z całém wysileniem odpowiednich zmysłów, mocą rozumu naszego składajmy to wszystko w jednią stósowną; abyśmy każde pojawienie ziemskie ze wszech stron poznali, a czego nie docieczem w jednym pojedynku, to nie ujdzie uwadze naszéj w następnym, mniéj jeszcze w późniejszym. A gdy już nam zbywać nie będzie na wiedzy, któregokolwiek bądź szczegółu pojawienia, gdy kładąc ciągle i zawsze jednią w poznane szczegóły, pojmiemy stopniowo poczęcie się, wzrost i koniec każdego utworu, czyż tém samém nie wykryjem, nie wyświecim właściwego jego znaczenia? A następnie poznawszy tak wszystkie utwory ziemskie aż do człowieka, którego równocześnie i w sobie i w innych współbliźnich badamy, czyż i jego a więc siebie nie poznamy tak, że samowiedz naszę sobie powiedzieć będziem mogli? Niechybnie!

Zarzuciłby mi kto może, iż, jak skoro przypuszczam, że w człowieku reszta pojawienia ziemskiego się znajduje i powtarza, dość będzie, gdy jego tylko badać będziemy, aby mieć wiedzę samowiedzy jego, a tém samém pojąć resztę pojawień ziemskich; aleć odpowiem na zarzut ten i powtórzę to, com już na innem miejscu orzekł, że bez znajomości zgłosek zmyślać tylko będziemy brzmienia i znaczenia wyrazów, że choć je posłyszymy (boć się same wymawiają) nie będziemy mogli powiedzieć go sobie, tak, jak nieumiejący wcale pisać, nie napisze posłyszanego wyrazu, a nie dobrze piszący, źle go napisze; czyli zostalibyśmy wiecznie przy samowiedzy, bez jéj wiedzy; to jest czulibyśmy ją tylko, alebyśmy jéj nigdy nie wiedzieli, nie poznali.

Koniecznie więc od poznania zgłosek zacząć nam należy, a do poznania ich dopiero wtenczas przyjdziemy, gdy wszystkie, jakkolwiek liczne ich pojawienia wiadome nam będą. Dziś naturalnie bardzo dalekimi jeszcze jesteśmy od ich zupełnéj wiedzy: Historya naturalna ciągle jeszcze wykrywa i porządkuje utwory ziemskie, ale zaczyna już systemy naturalne, stopniowo coraz doskonalsze familie opisując, tworzyć; — chemia ledwie po za obręb ciał nieorganicznych przeszła; z ciałami ożywionémi bowiem udało się jéj trudnić tylko w ich stanie pośmiertnym, a więc w przejściu z organicznego w nieorganiczne;*) w sztucznem trawieniu jednak otwiera się wielkie dla niéj pole; — anatomia ogólna dopiero od niedawna uzbroiła oko swoje w dochodzeniu coraz delikatniejszéj budowy ciał ożywionych; — fizyce dopiero w bezpośredniéj przyszłości uda się dociec nader ważnych pojawień elektryczności i magnetyzmu przez wykryty w galwanizmie, a więc (w elektro-chemizmie) zadziwiający elektro-magnetyzm; — anatomia porównawcza, w jednym kierunku najwidoczniéj zmierzająca do celu właściwego człowiekowi, dopiero w naszym wieku coraz widoczniejsze postępy robić zaczyna; — patolog i terapekta tworzy ciągle jeszcze historyą doświadczeń swoich, aby przez nią dopiero pokolenia następne do jakiéjś pewności doszły; — fizyolog, jak sobie zamierzył, jeszcze się nie wkradł w samo wnętrze utworów ziemskich, chociaż codzień zbliża się do niego; — psycholog, pragnący już dziś mieć wiedzę samowiedzy swojéj, chętnie się zapuszcza w domysły rozumowe i unosi nad ziemskość, która niby, jak mówi, myśl jego krępuje, a ona mu tylko powiedzieć pragnie »nie na téj drodze poznasz rzeczywiste znaczenie swoje!« — pomieniając nakoniec resztę umiejętności przyrodzonych, filozofia natury (a w niéj antropologia) na nich wszystkich razem opierająca się, wznosi budowę swoję słabą jeszcze i chwiejącą się stósownie do jéj fundamentów. Nad nią pracujmy więc, a dopiero w niéj siebie, jak należy, pojmiemy.

*Teofil Matecki.*

*) Jakkolwiek filozofowie z całą dokładnością dowodzić usilują i dowodzą niepewność zmysłowo powziętych rzeczy, przecież w życiu praktyczném, a więc w rzeczywistości, w to tylko wierzymy, cośmy sami widzieli, słyszeli; te tylko n. p. bóle pojmujemy, które sami czujemy.

*) Właściwie też mówiąc nie mamy dotąd chemii organicznéj, jak zwykle mówią, ale chemią przejścia ciał z stanu organicznego w nieorganiczny.

## *Posiedzenie Bacciarellego malarza.*

*(Dokończenie.)*

Głos Grabowskiéj przybrał owe brzmienie poważne, długo w samotności zostającéj osoby, w którém słowa nie nawykłe często w usta przychodzić, w chwili bólu lub żalu nabierają tętna organu, co huczy drapiącémi usty. »Królu mój! oto ostatni raz jeszcze twój cię brat wita i ostrzega! I kiedyż? kiedyż, jeśli nie dziś miał ci powiedzieć ostatnie słowa przestrogi? W ówczas nie chciałeś ich słuchać, gdy się odzywały z małéj piersi twéj przyjaciołki i sługi Anny! nawet pierś Hugona była za nizką, aby strach w królewskich twych obudzić myślach! To więc teraz posłuchaj innego głosu!«... Stanęła, rękę podniosła ku Warszawie: głos dzwonów jednego po drugim, co się zrywały jak ptaki; potém głos nieustający pomieszanych wszystkich kościelnych dzwonów, głos gwałtu, dolatywał do nas. — »Ogień?« zawołał król

pobladły. — „To krew!“ odrzekła ciszéj Grabowska. „Królu! to nasza Wielkanoc!“ — »Dzwony?« — „To głos miasta, które się budzi, może aby nie zasnąć więcéj!“ — »Grabowska! co to? co to jest?« wołał przestraszony Stanisław i załamał ręce nad głową, i tak modlące, rzucił jéj wejrzenie, że znać, jak mu serce zubożało w męzkości, jak tam mało samoistnego ducha. Grabowska chwyta za rękę króla, ciągnie ku obrazowi prymasa, i głosem mocnym, co już do rozkazu się bierze: »On przepowiedział,« zawoła, »on i teraz przyszedł, dodać ci odwagi, mój królu! działać! i działać!« — »Ale jak?« zagabał król wzruszony.

Wtém wpada oficer od ułanów królewskich. Kurz na nim i wystrzelony pistolet, co na pasku się dygotał, jasno mówiły o jakiemś poruszeniu miasta. Od czapki skłonił czarną rękawicą, podkręcił wąs, sprostował się i zameldował: »Pułkownik Hajman z regimentu Działyńskiego idzie na pomoc swoim.« — Król stał, skrzyżował piękne swe ręce na piersi, popatrzył na oficera i podniósł oczy ku niebu. — »Pospieszcie z Bogiem!« odpowiedziała Grabowska za króla. Król głową skłonił, oficer brzęknął ostrogą, czwał konia przebrzmiał w dziedzińcu, znów cicho; ale głos dzwonów jęczy ciągle nad Warszawą.

Straszna to chwila była, mój sędzio, i dziwna! — Tam z dala krzyki, czasem jaki strzał doleci; to znów ruchy, jak wozów, jak wołań, jak pogoni. A nas troje, król, Grabowska i ja, samotni prawie w tym letnim pałacu, co jak Wenecya z wody i w wodzie wzrosł; wpół zawieszeni w ruchach, w przestrachu, bez straży, bez swego tłumu dworaków, nawet bez żadnego dworaka: z niskąd wieści, z niskąd pewności! Szybą popatrzym, to z jednéj strony biały kamienny Sobieski, skacze spokojnym ruchem po Turku na kamiennym moście, to z drugiéj wysepkę widać i na niéj teatrzyk ze swémi wpół rozrzuconémi drzewy, taki spokojny, zaciszny, jakby czekający dziś aktorów; nigdzie żyjącéj istoty, ruchu nigdzie, nigdzie pewności zachowania, nawet ucieczki! O tak! bo nie wiem, jako komu, ale mnie w téj chwili zająca chciałoby się wyścignąć!

Wtém między drzewami alei wiodącéj od miasta jakiś punkt czarny zwrócił naszą uwagę. Nie szedł on prosto ku nam, ale od drzewa ku drzewu skacze, to się ogląda, to pędem leci; przycupnie, znów ślizga i coraz bliżéj pałacu. Już teraz poznać można i salopkę francuzką czarną i ów kapturek od niéj zarzucony na głowę i widać małą nóżkę. — »Ha, ha, ha!« śmieje Grabowska. Idąca przeszła mostek, co w dziedziniec wiedzie. Grabowska jeszcze głośniéj śmiechem zanosi, podbiega w narożne okno, otwiera je, rozpiera się oburącz w boki i śmieje co może z całego gardła: »Ha, ha, ha!«

Pielgrzymka nasza stanęła chwilę, strząsła się jak przestraszone ptaszę, i czém prędzéj wlata do sali pałacu. Była to Lully, biedna, uciekająca Lully! — Burza miasta zastała ją pewnie na łonie jakiegoś wabnego wieczora; bo atłasowy biały trzewiczek, z korkami, resztki swojéj świetności na małych nóżkach domawia. Zgrabna kamizelka w staniku szamerowana, juste-au-corps zwana, ściska jéj zadychaną pierś; u gorsu jeszcze jakiś listek robionego kwiatu, co z Francyi pocztą przyleciał, zatrzymała szpilka, gdy sam kwiat gdzieś w téj wędrówce rozkołatany odleciał. Zastraszone oczęta, włosy i głowa płowe, w pół kapiszonem ścienione, miały ów wabny nieład pytonistki, kiedy z trójnoga się zrywa przestraszona mocą nawiedzającego ją Boga. Przybieżała ku nam, padła na pierwsze podane krzesło i małémi nóżkami tupocąc o marmurową posadzkę z zimna i ze złości, złożyła jak ku modlitwie ręce, i obróciwszy się do króla: »Uciekajmy! uciekajmy!« wołała.

„Dokąd?“ ironicznie pyta Grabowska. — „Wszędzie, byle nie tam, mój królu! Tam śmierć brudna, ohydna, rzeźnicze ku mnie wyciągała dłonie! — tam dzwony gonią złowieszczym krzykiem! jam uciekać musiała! ja Lully piechotą, wasza dwórka, królu, z karety wyrzucona, wyśmiana, a jakieś pyzate wąsate twarze ważyły się mi grozić, wywlec!... I śmiéj pani, oni orężem grozili, oni przy mnie szukali króla! pijane ich ręce szukały w okół mnie, złota pewno, to rozboje! — Rzuciłam im łańcuch wenecki, wasz łańcuch, drogi mój królu, podarowany mi w dniach szczęścia. Oślepione ich oczy nie poznały złota, odrzucili w błoto, w błoto zdeptali piękny mój łańcuch wenecki; oni nie łańcucha szukali, oni was szukali! — Wynieśli mię na swych błotnistych rękach i w głąb się karety zaryli z krzykiem: „gdzie król? gdzie król?“ — wówczas porzucona na środku ulicy podbiegłam chyżo, uciekałam, uciekałam, Bóg wie gdzie! — tu, do Łazienek chciałam się skryć, uciekać, byle uciec, byle dzwonów nie słyszeć, byle krwi nie widzieć! bo tam i krew płynie, a wszystko króla wołają!«

To opowiadanie przerywane łkaniem szczególne na Stanisławie zrobiło wrażenie. »Szukają mnie? szukają?« wołał, »dobrze! Bacciarelli, każże nawrócić karecie.« — »Królu! co chcesz czynić?« zawołały obie rywalki. — »Pojechać do nich w miasto! Na cóż mnie darmo szukać mają? na cóż zwlekać? albož tutaj nie znajdą?« — »Uciekaj królu!« wołała Lully. — »Lepiéj im ponieść głowę, jakby ją sami wziąść mieli!« — »Kto? oni?« przerwie Grabowska, »oni téj głowy upa-

trują jak słońca, nie żeby ją chmurzyć przestrachem, ale jak słońce by im świeciła pogodą! Czarne wam myśli, monarcho, zostawić dla biednéj Lully, co zwalała błotem nowe swe atłasowe trzewiczki.« — »I któż mi ręczy, że oni nie chcą méj zguby?« — »Kto, miłościwy panie? podkanclerzy Hugo!« — »Hugo?« wtórzył król z cicha i długo, jakby na tém imieniu chciał zakładać jakąś nadzieję. — A Lully zawodząc z płaczu: »O, wyście rozdmuchali ten ogień, Anno, bo wam do miary każdy krok, chociażby o czyje życie chodziło! Burza, co na téj koronowanéj głowie zawisła, was przestąpi, nie nadepce, boście za małe na jéj objęcia, boście za trwożliwe, by w czasie wybuchu pozostać! podpalić i uciec, spalić i śmiać się potém, ha! na to was stać jeszcze! Ale oburącz szamotać się z burzą, jak ja szamotała; gadać ze śmiercią, widzieć twarze oprawców, leżeć w ich ręku i tylko słyszeć i tylko czuć i tylko boleć nad losem kochanka, o którego dopytywały się ich wszystkie głosy, o, to nie dano Annie!« — „Droga Lully! tobie tak groźne każde głośniejsze stąpnienie! tobie tak straszne każde dzwonu bicie! Tyś się musiała zmęczyć, o Lully! słysząc tyle uderzeń dzwonów tam na górze! Biedne, spłoszone dziecię, mój królu, jakby się co z rąk niańki wyrwało, jakby je co zestraszyło z rąk niańki! Oni ci nie dali dokończyć wieczora i stumanili wąsatémi twarzami oczęta przywykłe w koło siebie widzieć samą dorodną młodzież!« to mówiąc pochyliła się nad nią i jakby matka potulając przestraszoną córę, lekko ku piersiom swoim zwróciła jéj jasną główkę. — Poznała żart Lully, a odrzucając się z uścisku Grabowskiéj: „O moja pani,« rzekła, »jeżeli o strachy chodzi, nie umiem ich wywoływać, ale im stawić czoło jak Francuzka. U nas między życiem pałacu a ulicy, większy jest przedział jak w waszém polskiém wychowaniu; w francuzkich dworach raz ino ręka gminu dotyka dworskich dam szyi, i to jedna ręka kata! Wtedy wiemy, co to są szorstkie słowa i ręka, ale po nich dworaczka już przestaje być dworaczką i kobietą. U nas uśmiechy i słowa wzwyczajone do echa salonów, nie umieją zagadać do gminnéj gawiedzi; nie umieją, jak wy, wyciągać im rękę do pocałunku, rękę jeszcze ciepłą od pałacowych uścisków. Piękne niebo Francyi my znamy, albo przez szyby zamków naszych, albo w przejażdżkach uciechy, na których lud jak wodna fala błąka się w okół naszych pojazdów, aby nam przypatrzyć się z bliska i jak woda przepłynąć w oczach. Czy on żyje, my nie pytamy o to! że żyje z nas, to wiemy, i każemy mu dla nas robić karety, stroje, umiatać drogi, ulice, sadzić ogrody i drzewa, aby było komu zapłacić, aby zarobił na siebie, i pokrzyczał nam: „Wiwat!“ my raz ino kochamy, ale w onczas z objęć koronowanego kochanka wiemy tylko jednę drogę: do krat zakonnych, i jak de la Vallière cierpieć umiemy. My raz tylko chodzim po piasku, ale wtedy idzie się krokiem Maryi Stuart do pnia czarnego, kędy błyszczy topor!« — »Pieszczone dziecię salonu! jakże twe drobne nóżki musiały wiele ucierpieć od błota ulic warszawskich!« — »Zwalały tylko obuwie, moje paryzkie trzewiki; ucierpiałam strojem, nie sercem.« — »Uciekałam! uciekałam, powiedz Lully! boć przecie my to sami widzieli, i samaś rzekła, żeś uciekała z przestrachu.« — »A wybyście nie uciekali, Anno?« — »Grabowska nie miałaby czego uciekać.« — »Ha, prawda! możeby ją szewc własny albo krawiec znajomy wybawił.« — »Mnieby moje imie zbawiło.« — „Które? czy fawory ty?« — »Imie kasztelanowéj krakowskiéj! imie własne rodowe, i godność własna we własnym kraju!« — »I popularność Hugona wspólniczki?« — »Prędzéj, jak Ożarowskiego kochanki.« — »Czyjéj? kto?« i zerwała się Lully. — »Twoje i ty!« odpowiedziała Grabowska, całém okiem mierząc biedną rywalkę. — „I to w obec was, najjaśniejszy panie! przy boku tego, kędym się myślała już wolną od przebytych złorzeczeń, gdy nowa potwarz pośmiechem pada okropnie na moje zranione serce! Nikt nie pożali, nikt nie odeprze, nikt się nie ujmie!« — „Za czém? za waszą niewinnością może?« — »Przynajmniéj niechby mnie to nie niewiasta zadawała!« — »Albo cierpiąca, albo zastraszona równie, jak wy? ha, ha, ha! biedna dziecino! zawszebyś tryumfować chciała, a to nie codzień niedziela! nie codzień można po pod oknami biednéj samotnicy w Łazienkach przelatać poszóstnym pojazdem! nie codzień można urągać jéj smutkowi turkotem kół, biczów świstem! nie codzień Anna zamknięta w żalu! nie codzień można jeździć w karetach; czasem po błotnych ulicach Polski trza przelecieć w salonowéj sukni, jak uciekająca mieszczka! — O! boś ty Lully markizy życie chciała przewlec na dworzec Polski, jak stroik mody, i uczuć, jak ubioru, nie racząc na gościnnéj zmienić ziemi! A u nas jeszcze nie cała Francya!« — »U nas niewiasta bardziéj przykuta do ziemi, jak do nieba! My przez kościół nie pokazujemy drogi kochankom do komnaty naszéj,*) ale my pierwéj o kościołach jak o kochanku myślimy. A jeżeli co ukochamy, to nie waszém salonowém zajęciem usadowiamy to przy sobie, aby nam się uśmiechało, podawało ramiona, bawiło! My o naszym miłośniku, matczynėm turbujemy się sercem, w miłość

*) Któraś dworska zapytana od Ludwika XIV., kędy wchód do jéj alkowy. — »Droga do niéj, N. Panie,« odrzekła, »przez kościół.«

jak kwiat poglądamy; ale nam na uwadze i łąka, na któréj ten kwiat wschodzi. Łące téj, téj ojczyznie naszego kwiatu życzymy tak dobrze i wiernie, że na niéj burzę, czy pogodę zgadniemy, przeczujem, zaklniem; bo chmura, co nad nią wisi, ma grad lub grom dla kwiatu naszego Dla tego my polskie niewiasty częściéj depcemy piasek ziemi naszéj; znamy ją nie okiem pałaców, trącamy ją nie tylko kołami karoc naszych, ale piersią znamy, i gdy się ona zapieni, zaburzy, my nie uciekamy, jak dziecko w atłasowych białych trzewikach, gnani grubym głosem motłochu; my silniejsze od was! w poskok myśli i ręce zespolim z podnoszącym się ludem, i tam, gdzie wy głowę, my ledwo rękę podamy! I przeleci burza nie tknąwszy nas ni mieczem kata, ni dąsem słów uszczypliwych. A jeśli przemokniemy łzami, to w zaciszy lekka ta kara kochanki oschnie przekonaniem, żeśmy jak Polki cierpiały!« — »Ale jak Francuzki kochać nie umiały! O pani moja! miłość wasza to żarty przeciw naszéj miłości; to wieśniak z pod Czerniakowa, chcący się bratać z naszego Boufflera pasterzami! Gdzież u was to zajęcie się wyłączne lubym przedmiotem, żeby się aż o świecie zapomniało? Gdzież to zajęcie lubego, ażby on o wszystkiém zapomniał prócz nas, prócz téj alkowy, prócz téj sofy, co go więzi przy nas? W miłości wy nie myślicie o sobie, i chwalisz się tém Anno? Biedna pochwała! Więc jakże chcecie, aby kochać mieli, co wy nie kochacie? aby im było to drogiém, co wam i na myśli nie było? My kochając, kochamy siebie, szalejemy za sobą; godzina lustra, toalety jest milszą dla nas, wabniejszą dla nas, jak godzina schadzki z kochankiem; bo my przy nich, przy lustrach toczymy z nieobecnym tysiączne różnolice rozmowy, a na każdą dobieramy coraz nowych odpowiedzi, coraz nowych poruszeń i rzutów, w którychby samo nasze ciało mówiło duszą, i próbujemy jak sukni tych ruchów, wdzięcząc się sobie, aby ich potém skochać «

I Lully, jakby przypomniała sobie owe lekcye dawane jéj przez miłość własną, odrzuciła kapiszon z głowy, uśmiechnęła się do lustra, co na przeciw błyszczy, krótką salopkę ściąga na nogi, aby błoto pokryć, i jak mistrz zasiada do gry umizgów. Małe swe czoło wyprostowała ze zmarszczków, płowe włosy zgładziła na czole, kilka kędziorów, co za daleko w tył zabiegły, nawołała wprzód szyi, i śmiejnym chichoczącym głosem tak bawi zdziwioną Annę: »Oto wzór dla was! oto godzina toalety! posłuchaj pani, przed odjazdem moim, bo ja tu nie myślę bawić, a dobrze, że więcéj jedno doświadczenie ci przybędzie, więcéj jedna namiętność podobania się ludziom; ty z ludźmi zostaniesz, tobie tak ludzie potrzebni, i różni ludzie! a mnie dość jeden!« To mówiąc rzuciła szybkie jasne na króla wejrzenie i kończy daléj swoje umizgi przed zwierciadłem. Zbladłą twarz małą naciera rączką, wnet rumieniec trysnął; ona do niego wiśniowe swoje w całus urabia usta i rzucając go w powietrze: »tak go« mówi, »całować będę, gdy mi o miłości zacznie prawić: perłowe ząbki z lekka przysłonię wargami, połechcę twarz jego całusem, ale z lekka: ot tak — w powietrze tylko, ledwo dotknę, potém odrzucę głowę nieznacznie, żałując niby. Ten rzut tak dobry, jakby wahanie, jakby pół gniewu, żem tak długo czekała. — On spojrzy — to ja zmrużam oczy, by do łzy; podniosę piersią, by do westchnienia, i dam mu chwilę wypytywania, bojaźni, i nawrócę mu myśli ku smutnym obrazom rozłączenia, cierpienia. O, bom cierpiała! Rywalka moja miała go dopiero w swych uściskach, szczęśliwy i wesoły powrócił do niéj; gdy go wesoło szczęśliwie przyjmę, to o mnie jak o dalszym ciągu jéj pieszczot myśleć będzie; powabi, ale się nie zmieni; jéj, jéj kochanka bym piastowała!...On pyta, błaga, płacze!...podnoszę oczy, zwolna, ot tak; w szklanném oku drzy mi łza, ale jeszcze nie pełna, nie z rozczulenia; jestto jakby dawna łza poczęta jego niewidzeniem, w oczekiwaniu na niego; sama nie płaczę, bo zwierciadło mówi, że mi z tém nie dobrze; więc lepiéj gorzki uśmiech rzucić, ale tak luby, żeby go nie rozdrażnił i nadał chęć całowania mi ust, — ha, patrzcie! czy nie piękny ten uśmiech zaczęty, jakby się rozśmiać, a zwolna prostujący się w twarzy, nie kończący się, zaniechany? i znów oczy spuszczone, i znów łza ta sama, przystygła, nie spadnięta, nie otarta. On się zaklina! on się szamoce, on przysięga, że mnie nie zapomina, nie zapomniał! posunę ręką po czole, zatrzymam drobne me palce; powoli czoło na rękę, rękę na jego opieram ramieniu, współzgiętą kibicią niby mu się zwierzam, a jednak lekko mu ciężę tylko. To ciężar ciała, które zdaje się kłaść, ale drzy, bo nie trafiło na twardy kamień, którym się boi zranić lub ukłuć. — I tak, wpół zgięta, ja słucham jego głosu i bicia serca, i ciepłe powietrze mych ust spragnionych, patrzcie! jak dysze, jak go oblewa! On się poi moim oddechem, on się tak zgina ku méj kibici, by ją uścisnąć w ramionach. Ale mi mówi moje zwierciadło, że mi tak pięknie w płacznéj postaci; więc ja się kłonię, więc ja tak płaczę! — kto wie? może ja na prawdę płaczę! Bo to jest męka drzeć tak o niego, bo to okropnie kochać nie sama, bo to okropnie nie mieć prócz niego nic a nic więcéj na świecie! Słuchajcie dobrze! pustą dziewczynę on skochał, sercem polubił, i jéj powiedział za pierwsze słowo: „ty będziesz moją na zawsze!“ —

I wierzyła pusta dziewczyna; ciepłe swe niebo, piękne salony, zabawy świetne, wszystko rzuciła dla niego, i tu zjechała, gdzie jéj nikt z ludzi znajomém okiem nie wita; lecz ona o to ani pytała, bo w nim świat cały, matkę i braci, i swe uciechy i swe zabawy zgubiła. Jakże nie płakać, na co udawać! chyba udawać można wesołość? Ale niebodze, co w nim ma wszystko, gdy jéj to wszystko ktoś poniewiera, jakże nie płakać? powiedzcie! — Pogonię za nim, i pieszo za nim w błocie i płaczu, w trwodze i żalu biednam sierota goniła! — a on, ni przyjął, ni mnie przycisnął, ani dał poznać, że kocha!« I zmilkła Lully, prawdziwie płacze.

August, co dotąd stał niewzruszony, co się z początku jéj przysłuchiwał, niby dorywczo i bez uwagi, zerwał się teraz młodzieńczym skokiem, podbiegł aż do niéj, a Lully — Lully płacząc rzuca mu się w ramiona.

Zdrętwiała Grabowska. W jéj oczach rywalka w objęciach króla, w jéj oczach król ściska przeciwniczkę, całuje, pieści! i świadek, ja świadek stałem jak wryty w téj sali.

Pocieszona i spieszona podnosi zwolna głowę z królewskiego ramienia, a obracając głos do Grabowskiéj: »A tajemnica takiéj potęgi,« rzekła jéj na pół z uśmiechem, »o to jest: kochać tak, jak Francuzka, goniąc kochanka choćby po błocie, choćby w objęciach rywalki, i z nim uciekać, nie prawda królu? choćby od świata korony!« — »Uciekać? uciekać? — o Panie! to nie myśl wasza! to téj szalonéj głowy!.... W dziejach twojego domu nie ma u królów takiéj myśli! Daruj mi panie! przebacz mi królu! ale krok hańby.....« — »Krok Henryka Walezego,« odparł Stanisław poważnie, »ja w nim hańby nie widzę.« — »Uciekać! opuścić!« woła Grabowska, »czyście wy o tém myśleli? Nie chodzi o mnie, ja u was mało, ależ tron niechaj zaważy!« — »Oni cię na nim zabiją!« szepce Lully. — »Oni cię gonić będą!« woła Grabowska. — »Uciekniem chyżo!« — »Dogonią!« — »Ja cię ocalę! ja cię ukryję, przebiorę, ukryję!« — »Nie ocalisz! nie uwieziesz! — Ja wydam....« — »Kogo? jego? króla, kochanka wydasz? Ha, ha! Polka! chce króla wydać! ha, ha! kochanka chce śmierci lubego? piękna miłość, piękna cnota kochanki Polki!«

Wtém z po za muru gruby głos nieznajomego przerwał śmiejącéj Lully. — Poskoczyliśmy do okna i głupowata, wszystkim nam dobrze znajoma postać Jacusia, publicznego trefnisia Warszawy, uderzyła każdego w oczy.*) Szamotał się pod oknem, musiał tam nocować niepostrzeżony, gdyż w téj chwili tuląc się mocno w łachmanisty swój płaszcz, podskakiwał całą siłą do góry, bijąc hołubca dla rozgrzania, i śpiewał sobie jak zwykle własnym krojem krakowiaki, któremi tak obrzucił Warszawę. Głos jego śpiewu waryacki, podpiły, miał coś strasznego w sobie i dziwnego:

1.
**Oj, hulajcie dzieci, bo hula babula!**
**Oj, hulaj Jacusiu! bo Warszawa hula!**

2.
**Tam dzwoneczki dzwonią, tam dzwoni i kula,**
**A Jacuś się śmieje, bo Warszawa hula!**

3.
**Oj, ja tam polecę, wezmą mię za króla!**
**Jacuś się nie boi, gdy Warszawa hula!**

4.
**Na kamiennym moście patrzcie na dziadula!**
**To król polski, to Sobieski na Turczynie hula!**

5.
**I ja też w téj dobie, jak królątko zrobię!**
**Skacz Sobieski, ¡królu lepski i ty Jacuś sobie!**

6.
**Oj, hulajcie dzieci! bo hula babula!**
**Oj, hulaj Jacusiu! bo Warszawa hula!**

7.
**U mojego króla Grabina i Lulla,**
**A dla Jacka, święto placka, gdy Warszawa hula!**

I ku Warszawie skrzyżował ręce, to znów w podskoku ku ziemi się czai, jakby bił pokłonem do okien Łazienek; pierś mu coraz mocniéj dysze, z ust rozgrzanych skokiem para dymem się wali; a on wciąż się kręci, wciąż kłania ku królewskiemu oknu, i słychać już tylko z zasapanych piersi czasem nieznacznie:

**. . . . . . . hula! . . . . . babula!**
**. . . . . . . . . . bo Warszawa hula!**

Dziwny ten obraz pijackiego tańca i ten śpiew Jacusia był jakby pożegnaniem miasta przyniesionem królowi do Łazienek przez posłannika, trefnisia ludu. Łachmany skaczące w takt dzwonów, śpiew dyszący całą głupowatością i ironią mazurską, pjana wódki i pjana szału, co mówią o hulce miasta, dygotanie członków z zimna i wpychanie się w łachmany, co mówią o nędzy, wszystko to stanęło w oczy Stanisława, żegnając go językiem prawdy i szczeroty. Nic nie brakło, nawet poezyi, którą tak król lubował, ale tą razą z ust Jacusia nie sadzonym Naruszewiczowskim lała się rymem.

Gorzko się zamyślał Poniatowski, nad przeszłością pewno, bo wciągnięte rysy jego oblicza i ten wzrok

*) Warszawa miała wówczas trefnisia swego; siadał on najczęściéj w bramie Saskiego ogrodu i zagabywany, dowcipnemi odśpiewywał krakowiaki. Podobno zwał się Jacuś; jednak za historyczność nazwy nie ręczę. Za mojéj pamięci równym przedmiotem ciekawości i żartów miejskich był —cio, półwaryat mający niekiedy przy karykaturycznéj mimice i chwile pociesznych żarcików.

zamglony, co jakby siekł w głąb duszy, nie o przyszłość się kłopocą. Wszystko mu znikło z pamięci; jeden Jacuś ciągle tańczy, śpiewa i tupa; jedna przeszłość królowi się wije, śpiewa o nim i tupa na niego.

A Lully swarzy Grabowskę: »O patrzaj, to ich trefniś! może go do ciebie wysłali, pani kasztelanowo! w toalecie poseł i z dobrą mimiką! on śpiewa, dowcipkuje, może go podkanclerzy zdworaczył! Możeście go nuty nczyli w waszym pustelniczym domku! Gra i muzyka cudowna.« — »Jak na pożegnanie, stósowna!« odgryza Anna, »i przy tryumfalnéj ucieczce waszéj w miejsce trąb i kotłów niechaj wam słnży jego piosenka!« — A w téj chwili, jakby zmówiony Jacuś znów głośniéj śpiewa:

**O, ja tam polecę, wezmą mię za króla,**
**Jacuś się nie boi, gdy Warszawa hula!**

Ucina, staje, głowę obrócił ku alejom, rozśmiał się i wskazał palcem.

A tam z daleka widać tłum jakiś, jak czarna plama, między dwoma rzędami topoli, wałęsający się, by woda się suwa. To oni! Czołem widać kilkunastu konno — lecz i ci trzymają się tłumu nie goniąc przodem.

Lully skrzykła, porwała króla za rękę, wybiegła z nim w przedsień: »Kareta! kareta!« woła, wskakuje, trzymając ciągle rękę króla Stanisława i ciągnie za sobą.

Czy dojrzeli ruch i osobę króla idący od miasta, czy też w istocie pochód ich był tak prędkim, ale my o nim zdala sądzić nie mogli, dość, że król nie uśpiał drugiéj nogi w stopień karety założyć, gdy wrzask tętent koni wyrwały się razem z tłumu, i jednym skokiem otoczono karetę. — Zemdlała Lully: król najspokojniéj zwrócił się do drzwi pałacu i z otaczającym go tłumem wszedł do sali. W tłumie Grabowska, gdy zoczyła podkanclerza, nie wraca już do pałacu, ale czém prędzéj siada do karety, obok zemdlonéj drzwiczki zasuwa i na woźnicę woła: »Śpiesznie do Czerniakowa!«

Po półgodzinnéj jeździe Lully przychodzi do siebie, trzęsiona powozem budzi się, przeciera oczy, patrzy obok i pyta: »Gdzież jestem?« — »W karecie.« — »Gdzie król? któż tutaj?« — »Ja!« odpowiada Grabowska. — »Ty Anno? Boże, cóż zamyślasz?« i chwyta ją gwałtownie za ręce. — »Nic, duszo! chciałaś się przejechać, jechałyśmy; terez wrócić możemy, już po przejazdzie.«

Dano rozkaz; wracają do Łazienek, już tam króla nie było. Jadą na zamek, na zamku jak dawniéj cicho, spokojnie; tylko w krakowskiém przedmieściu i świętokrzyskiéj ulicy konie musiały zwolna przechodzić, bo tłum był wielki, a w niektórych miejscach obie damy słoniły twarz chustką, bo błoto było bardzo czerwone.

*Dominik M.** Magnuszewski

---

# Doniesienia literackie.

Najnowsze dzieło p. majora Prittwitz, jenialnego autora dzieła »Gränzen der Civilisation« (o którém w Nr. 41. T. IIgo pisma naszego mówiliśmy) jest: »Die Kunst reich zu werden, oder gemeinfaßliche Darstellung der Volkswirthschaft.« Szczegółowe sprawozdanie z dzieła tego późniéj umieścimy.

---

Nasz stary poczciwy Gorecki, autor »Śmierci zdrajcy ojczyzny«, umieścił w piśmie wychodzącém dawniéj pod tytułem »Wiadomości hist. i lit. wyborną bajkę« dla pana Aloizego N—. w Beauvais. Oby zawsze podobne pisał.

---

Zwracamy uwagę czytelników naszych na dzieło świeżo wyszłe: »Westchnienia pobożne i t. d.« odznaczające się zdrowym sądem o rzeczach w ogóle i prawdziwie w duchu Chrystusa pojętémi zasadami. Godłem pisma tego jest: »błogosławiony, kto się z Chrystusa nie zgorszy.« (Ewangel. Mat. 11. 6.)

---

Najnowsza powieść pani Dudevant nosi nazwę: »*Le compagnon du tour de France.*«

---

Pan Niedźwiedzki Leonard wydaje filozoficzno-krytyczne dzieło o Polsce, pod tytułem szumnym: »Polska w apostazyi i w apoteozie, jako warunkach założenia i rozwiązania problematu etnologicznego w Praktyce i Wiedzy (!)« Raspaila dzieło nazywa tenże autor w prospekcie swoim: »bez sumienia loicznego.« (!!)

---

Jak nam donoszą z Paryża, pracuje pan Słowaczyński nad nową obszerną statystyką całéj dawnéj Polski. Jak dzieła tego autora Francya wysoko ceni, przekonać się można z następującego wyjątku, z raportu prac Towarzystwa franc. statystyki powsz.: »Pan Słowaczyński« (są słowa raportu tego, umieszczonego w dzienniku tow.) »zajmuje między kolegami naszymi, którzy nam do dziennika naszego najlepszych artykułów tyczących się państw zagranicznych dostarczali, jedno z miejsc najpierwszych. Zawdzięczamy mu wiele rozpraw tyczących się Polski, przynoszących mu zaszczyt nie tylko przez objawiający się w nich szlachetny charakter, ale przez naukę i przez chęć służenia postępowi w naukach.« Uwagi te kończą się w raporcie tém zdaniem, iż »nikt do szacunku i wdzięczności wspomnionego Tow. więcéj prawa mieć nie może, jak cudzoziemiec, o którego pracach wspomniało.«

---

**Przy końcu drugiego półrocza tomu trzeciego Tygodnika literackiego uprasza się szanownych Prenumeratorów o wczesne złożenie przedpłaty na następne półrocze. W przeciwnym bowiem razie nie naszą byłoby winą, gdyby przerwy w nadsyłaniu numerów doznali.**

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*